

Marta Kwaśnicka: Do recydywy nie przykładaj ręki

Jesteś estetką. Niemal każda strona Herlingowego „Dziennika” o tym do mnie krzyczy



Zbyt chętnie poddajemy się urokowi mnożenia słów

Nie będę ukrywać: czytanie „Dziennika” urasta mi nieco do roli warsztatów. No ale jeśli się uczyć, to od najlepszych.

„Zbyt długo „Popiołom i diamentom” na Wschodzie wtórowały na Zachodzie takie zjawiska, jak wymyślona przez literata włoskiego formułka „literatury jako kłamstwa” czy propozycja Foucaulta, by „wołę prawdy” uznać za „formę represyjnej wolności słowa”. W wypadku pisarzy – dopóki pokutują w nich resztki dworskiej chełpliwości literatów, czyli producentów rzeczy „dobrze napisanych”, wszystko jedno na jaki temat, na czyj obstalunek i z czyjego mandatu – utajona groźba recydywy tli się dalej” – zanotował Herling 7 grudnia 1982.

To bardzo ważny cytat z drugiego tomu nowego wydania Herlingowego “Dziennika” i bardzo ważne rozróżnienie. Oczywiście, prawdziwe arcydzieło, czyli to, nad którym, jak pisał Kijowski, umilkną wszelkie spory i które sensus communis uzna za autentyczną wielkość, nawet mimo szeregu mniejszych zastrzeżeń, a zatem owo prawdziwe arcydzieło powinno być dobrze napisane, jestem o tym przekonana. Musi być jednak przede wszystkim, zanim w ogóle omówimy kwestię trafności stylu, dziełem poruszającym sprawy istotne, stojącym na straży prawdy. Tutaj nie ma sporu.

W każdym razie, do recydywy nie będę przykładać ręki. Tytuły ostatnich wpisów to, oczywiście, jakby cykl przykazań, żeby nie brać pióra nadaremno; żeby opanować gadatliwość i, jeśli już się pisze, przejść na poziom, na którym buduje się rzeczywisty kulturalny kościec.

- Jesteś estetiką. Nie napisałaś niczego naprawdę wartościowego – usłyszałam ostatnio. Było mi przykro, ale w sumie racja. Niemal każda strona Herlingowego „Dziennika”, może poza tymi, na których on sam estetyzuje, zresztą ku mojej wielkiej ucieście, właśnie o tym do mnie krzyczy.

Niestety, próżny estetyzm, tendencja do zbyt prędkiego unoszenia się zachwytem nad rzemiosłem lub inteligencją jest moim problemem i śmiem zaryzykować, że wielu innych w moim wieku, chociaż pewnie nie wszystkich. Zbyt chętnie poddajemy się urokowi mnożenia słów, lecą same jak piasek; za dużo w nas giętkości i gotowości do pragmatycznych decyzji. Nikt nas nigdy nie postawił pod ścianą. W świecie, w którym żyjemy, granica czarnego z białym nieco się rozmyła, chodzimy zatem zawsze na granicy cienia i już się do tego przyzwyczailiśmy. Tacy właśnie jesteśmy, rozmiękczeni, skupieni na sobie, poszukujący własnych celów i dorabiający do tego wzniosłe teorie. To ja.

Bardzo to wszystko banalne.

I jeszcze jeden ważny cytat, zanim pierwszy z opasłych woluminów ostatecznie trafi na półkę: „Słowa oblażą nas, zżerają; utwierdza się obłądne przekonanie, że ‘można w nich wyczerpać całą, absolutnie całą rzeczywistość’ [...]. Tysiące współczesnych piór młóćą żwawo rzeczywistość, jak gdyby nie było w niej żadnej już tajemnicy. Odzyskanie centrum między rzeczywistością i tajemnicą i przywrócenie literaturze jej wagi i godności zależy od chęci i woli pisania na przekór

wszystkiemu w języku, którego każde słowo stara się dać odpowiedź na pytania stawiane nam codziennie przez nieznanego sędziego. Powiesz, że jest na to za późno? Twój G.” (8 kwietnia 1976)

Jak zatem uniknąć etycznego otępienia czy oschłości serca? I, jeśli w ogóle pisać, to jak i po co? Mam wrażenie, że obecna formuła tego bloga od pewnego czasu jest już na wyczerpaniu.

To sporo tematów do przemyśleń.

Marta Kwaśnicka

Tekst pochodzi z bloga Autorki